

Anna Dymna

ROBERT WOLAŃSKI

„Teatr to mój drugi dom, nie ma w tym żadnej egzaltacji”, mówi Anna Dymna.

20
VIVA!
lat
AUTORYTETY

Szczęście Anny



W latach 70., gdy
zrobiono to zdjęcie,
Anna Dymna była jedną
z najpiękniejszych
i najpopularniejszych
polskich aktorek.

WACŁAW KLACZ/REPORTER

KOLEKCJONUJE PIĘKNE CHWILE, NIEZWYKŁE SPOTKANIA Z NIEZWYKŁYMI LUDŹMI.
MÓWI O SOBIE, ŻE JEST NAJSZCZĘŚLIWSZYM CZŁOWIEKIEM ŚWIATA. ANNA DYMNA OD LAT
UCZY NAS, JAK PIĘKNIE I MĄDRZE ŻYĆ. „SZCZĘŚCIEM JEST TO, ŻE MOGĘ RANO WSTAĆ Z ŁÓŻKA,
OTWORZYĆ OCZY I WIDZIEĆ ŚWIAT. SĄ LUDZIE, KTÓRZY NIGDY NIE BĘDĄ JUŻ CHODZIĆ ANI WIDZIEĆ.
SZCZĘŚCIEM JEST, ŻE MAMY DWIE SPRAWNE RĘCE I MOŻEMY NIMI ZROBIĆ NAJWSPANIALSZE RZECZY”,
MÓWI W SZCZEREJ, PORUSZAJĄCEJ ROZMOWIE Z ALINĄ MROWIŃSKĄ.

Dlaczego ciągle na wszystko narzekamy? Taksówkarz, który mnie do Pani wiózł, całą drogę mówił, jak to jest źle i jak mało zarabia.

Najwięcej czasu tracimy na narzekanie, i to na wszystko: na brak pracy, na nadmiar pracy, na słońce, na deszcz, na brak czasu... Jesteśmy rozdrażnieni, zadyszani, w ciągłym pędzie. Zazdrościmy innym, że mają więcej niż my, że mogą więcej, więc pieniądze stały się dla wielu bogami. Ciągłe się z kimś ścigamy, porównujemy, nienawidzimy tych, którzy inaczej myślą, których nie rozumiemy. Człowiek staje się coraz bardziej samotny, nie ma czasu na zwyczajne spotkanie i rozmowę. Za komuny wszyscy podobnie

mało mieliśmy i to posiadanie nie było tak ważne. Ważniejsze były marzenia i radość z małych rzeczy. Pamiętam swoją radość, gdy wreszcie dostałam wyczekiwaną pralkę, rozpakowałam, a tu... lodówka. Teraz możemy mieć wszystko, tylko musimy na to zarobić. I ludziom się wydaje, że jeżeli będą mieli czegoś więcej, to to ich uszczęśliwi. A nie tędy droga. Można pojechać za miasto z namiotem – jak ja w dzieciństwie z rodzicami – i przeżyć najwspanialsze chwile. I mieć piękne wspomnienia, i siłę na całe życie. Mieliśmy motor, mama siedziała na siodelku, ja z braćmi w przyczepie, namiot był przytroczony z przodu. Jeździliśmy nad Rabę albo Dunajec w weekendy, od kwietnia do listopada. Zbieraliśmy grzyby, jagody, łowiliśmy ryby, rozpalaliśmy ogni-



„RATOWAŁO MNIE TO, ŻE KOCHAM ŻYCIE. PO



Z pierwszym mężem, tragicznie zmarłym poetą Wiesławem Dymnym. Luty 1977.



Kraków, rok 1982. Ślub cywilny z drugim mężem, Zbigniewem Szotą.



„Aktorzy są w pewnym sensie psychologami. Scena jest też dla mnie najlepszym gabinetem terapeutycznym”, wyznaje artystka.

ROBERT WOLANSKI



Z synem Michałem na wystawie „Gwiazdy sceny krakowskiej”. Marzec 2003.

WACŁAW KLAG/REPORTER

ŚMIERCI WIESIA MIAŁAM WYPADEK. GDY ODZYSKAŁAM PRZYTOMNOŚĆ, PAMIĘTAM TYLKO RADOŚĆ, ŻE JESTEM”.



W 1985 roku urodził się jedyny syn aktorki, Michał.

MACIEJ BOCHORZ/PAP

ska, mama gotowała na nim wspaniałe obiady. A wieczorami śpiewaliśmy ulubione piosenki, patrząc w ogień. Cudne chwile. To właśnie momenty prawdziwego szczęścia. Różne są jego miary. Dwa lata temu byłam w Kambodży. Widziałam przerażającą nędzę, ludzi, którzy mieli dom na małej łódce i świnkę w klatce. I byli szczęśliwi jak królowie życia. Kobiety pięknie, kolorowo ubrane, obwieszane dziećmi, całe dni handlujące na ulicy, w upale, owocami, rybami, ozdóbkami. Zawsze uśmiechnięte. Na plaży w Wietnamie podeszła do mnie kobieta z koralikami. Powiedziała, że musi zarobić chociaż dolara, wtedy będzie uratowana. Pomyślałam: Boże świąty, jakie są różne miary szczęścia, bogactwa, wolności, radości. A wracając do tego pana taksówkarza, to on

nie zdaje sobie sprawy, ile ma fantastycznych powodów do bycia szczęśliwym. Ja to wiem, dlatego jestem najszczęśliwszym człowiekiem świata.

– **Zawsze tak było?**

Chyba mam taki charakter, bo przecież w moim życiu wydarzyło się wiele nieszczęść, tragedii, które mogłyby powalić niejednego siłacza i zamienić mnie w zgorzkniałą, narzekającą babę. Zawsze ratowało mnie to, że kocham życie i ludzi. Po śmierci Wiesia Dymnego miałam wypadek w drodze na plan filmowy. Straciłam zupełnie pamięć. Gdy odzyskałam przytomność... Pamiętam tylko radość, że jestem, że widzę, że słyszę. I to mnie uratowało od depresji. Miałam wtedy 27 lat. Bardzo ważna była świadomość, że koledzy w teatrze na mnie czekają. Mam cudowny zawód, ▽



Anna Dymna z obecnym mężem, Krzysztofem Orzechowskim, na gali rozdania Wiktorów. Rok 2005.

„MOI PODOPIECZNI TO TACY STRACEŃCY. MOGĄ BYĆ ALBO SMUTNI I KIWAC SIĘ PRZY ŚCIANIE, UMIERAĆ W ROZPACZY I BEZNADZIEI, ALBO MOGĄ SIĘ CZUĆ POTRZEBNI. CI LUDZIE TO SKARBY”.

przyjaciół, czuję się potrzebna. Od kilkunastu lat prowadzę w telewizji program „Spotkajmy się”. Za mną setki rozmów z ludźmi po wypadkach, walczących z potwornymi chorobami, uzależnieniami, żyjącymi w piekle, które zgotował im los. I ci ludzie potrafili w którymś momencie odbić się od nieszczęścia, zacząć dostarczać małe rzeczy, których wcześniej nie widzieli. Pamiętam rozmowę z dziewczyną, która siedziała na wózku, ruszała tylko jedną ręką i miała cały czas uśmiech na twarzy. Mówiła, że jest szczęśliwa, że życie jest takie piękne. Zapytałam prowokacyjnie: „Jolka, jaki sens może mieć twoje życie?”. A ona mówi: „Jestem wybrana. Pełnię strasznie ważną funkcję i już to wiem. Jak pani patrzy na mnie, to musi pani zdać sobie sprawę, jaka jest szczęśliwa. A mogłaby pani tego nie wiedzieć, gdyby mnie nie poznała”.

– Kiedy realizowałam film dokumentalny „Jakiego koloru jest miłość” – o niewido-

mej kobiecie i jej mężu z porażeniem mózgowym, zdałam sobie sprawę, że szczęściem może być samodzielne wyjście na spacer, zapieczętowanie koszuli.

Poznałam kiedyś chłopaka, który założył i prowadził stronę internetową w domu pomocy społecznej. Zapytałam: „A co z tego masz?”. A on zdziwiony: „Że co? O co pani mnie pyta?”. Na to ja: „Przecież mógłbyś to samo robić za pieniądze”. I słyszę: „Ale oni nie mają pieniędzy, a potrzebują, to im robie”.

– Nie dorabiał żadnej filozofii. Dla niego pomoc była czymś oczywistym.

To też szczęście, że są tacy ludzie. Podczas czerwcowego Festiwalu Zaczarowanej Piosenki nasłuchiwałam się tylu dramatycznych historii, że chciałam być milionerką, by móc tym wszystkim ludziom pomóc.

– Ludzie myślą, że Pani zawsze może pomóc.

A, niestety, nikt nigdy nie może pomóc wszystkim. Moja fundacja ma do

utrzymania „Dolinę Słońca”, w której prowadzę warsztaty terapii artystycznej dla moich niepełnosprawnych intelektualnie podopiecznych. Dzięki nim częściej są uśmiechnięci i szczęśliwi. To dla nich założyłam Fundację „Mimo Wszystko”. I to jest mój priorytet. Chciałabym jeszcze wybudować w Lubiatowie nad morzem ośrodek dla osób niepełnosprawnych z całej Polski. Cudne miejsce, 800 metrów od najpiękniejszej polskiej plaży, wydmy, sosnowy las. Z takim zdumieniem i smutkiem wielokrotnie słyszałam, że ktoś chciałby jeszcze przed śmiercią zobaczyć morze. I znowu – jakie różne są miary szczęścia: jeden chce lecieć na Księżyc, a drugi zobaczyć morze... Wywalczyłam teren po wojskach rakietowych, dużo mnie to kosztowało czasu, nerwów, przez to nawet zaczęłam palić (śmiech). Zaczęliśmy budować pierwszy budynek i kiedy byliśmy w połowie, przyszła decyzja

o wstrzymaniu budowy. W tym miejscu miała być jedna z trzech lokalizacji elektrowni atomowej. Chciało mi się wyć. Tyle lat ciężkiej pracy, starań! Nie przespałam wtedy wiele nocy. Myślałam: Ile razy można pchać ten kamień do góry? A jak już jesteś prawie na szczycie, to znowu ci spada?

– Nie załamano się Pani?

Na szczęście serce mam silne i cudownych współpracowników. Nigdy się nie załamano. Na ogół to ja dodaję siłę ludziom w fundacji, powtarzam, że nie można dać się zniechęcić. Na przekór wszystkiemu. A wtedy oni dali mi siłę. Zdecydowałam, że mimo zakazu kończymy pierwszy budynek. Trzy lata temu otworzyliśmy warsztaty terapeutyczne dla niepełnosprawnych mieszkańców z gminy Choczewo. Działają wspaniale. Jest tam pracownia komputerowa, garncarska, podopieczni są uśmiechnięci, mogą wyjść z domu, mieć jakiś cel, przyjaciół, poczuć, że są potrzebni. W stycz-

niu tego roku przyszła wiadomość, że inwestycja została odblokowana i możemy budować dalej. Potrzebuję około 40 milionów. Całkiem niedawno zdałam sobie sprawę, że mam prawie 66 lat. Pewnie długo już tak nie popodskakuję. A muszę być tą, która mówi, że da się, róbmy swoje. Dobrze by było, gdyby zgłosił się jakiś milioner (śmiech).

– Szczęście to też spotkanie w odpowiednim momencie odpowiedniej osoby.

Może ktoś taki przeczyta ten wywiad. W Polsce jest tak, że ludzie najwięcej i najchętniej pomagają chorym dzieciom. Jak jest dziecko, które ma białaczkę i się je uratuje, to rośnie później piękny człowiek, który może normalnie żyć. Ludzie widzą efekt pomocy. A moi podopieczni to tacy straceńcy. Mogą być albo smutni i kiwać się przy ścianie, umierać w rozpacz i beznadziei, albo mogą się czuć potrzebni. Ci ludzie to skarby. Od nich można się uczyć prawdy, radości, miłości. Takiej niczym nieskazzonej. Oni czują świat sercem. Bardzo kocham moich podopiecznych i z wielką rozpaczą czasem słucham

pytań: „Dlaczego miliony wydaje pani na takich debili?”. Ci ludzie nie zdają sobie sprawy, co mówią! Przyjaźniłam się z nieżyjącym już profesorem Andrzejem Szczeklikiem. On zawsze mówił, że najbardziej go niepokoi, że wszystko zaczyna być odhumanizowane. Mimo wszystko chcę wierzyć, że świat jest dobry. A nawet jak nie jest taki dobry, to wmawiam mu, że jest (śmiech).

– Rozmawiamy w czasie półfinału Festiwalu Zaczarowanej Piosenki w Łazienkach Królewskich. Ktoś Panią szczególnie zachwycił?

Śpiewały 33 osoby. Podziwiam ich, że mimo choroby, niepełnosprawności mają siłę i spełniają swoje marzenia. Ten festiwal to profesjonalny konkurs, do jury zapraszam od 13 lat wybitnych kompozytorów, wokalistów, Irena Santor jest naszym opiekunem artystycznym. Zawsze uśmiechnięta, elegancka, ma wspaniałe kontakty z uczestnikami. I wie pani, co zauważyłam? Że ci ludzie chcą być traktowani poważnie, chcą rywalizować, walczyć. Co z tego, że nie widzą albo mają zdeformowane

chorobą ciała? Mają takie same ambicje, uczucia, pragnienia jak każdy. Najbardziej upokarza ich nie choroba i kalectwo, tylko to, że są traktowani albo jak kosmici, albo z pobłażaniem. Nigdy nie jestem w jury. Czekałam dziś na wyniki razem z uczestnikami i przeżywałam to razem z nimi.

– Napisała Pani wstęp do książki „Warto żyć” Piotra Pajączkowskiego, śpiewaka operowego z Hamburga, który choruje na stwardnienie zanikowe boczne. Komunikuje się już tylko oczami, całe ciało ma bezwładne.

Przy pełnym funkcjonowaniu mózgu. Teraz już sam nie zamyka powiek. Gałkami ocznymi jeszcze rusza, choć sprawia mu to coraz większą trudność. Piotr miał być rozmówcą w moim programie, ale nie zdążyliśmy. Nagle przestał mówić. Od kilku lat pisze do mnie oczami. Uważa, że jest najszczęśliwszy na świecie, bo widzi swoją cudowną żonę Joasię i czuje, jak pies liże go po rękach.

– Spotkała się Pani z Piotrem?

Prawie rok temu przyjechał do Poznania. Wreszcie poznaliśmy się osobiście. Wtedy dowiedziałam się,

że napisał oczami książkę. Wydawnictwo poprosiło mnie o napisanie wstępu.

– To było trudne?

Bardzo. Przed napisaniem zrobiłam sobie eksperyment: położyłam się na łóżku, żeby wczuć się w sytuację Piotra, sprawdzić, ile wytrzymam bez najmniejszego ruchu. Sama co prawda oddychałam i wiedziałam, że za chwilę wstanę. Po 15 minutach zaczęło się ze mną dziać coś dziwnego. Miałam wrażenie, że za chwilę się uduszę albo zwariuję.

– A kiedy Pani wstała?

Bardzo dziwne uczucie. Czuję się tak, jakbym wstała po ciężkiej chorobie. Zastanawiałam się, jak to jest, że człowiek w tak krańcowo trudnej sytuacji pisze, że życie jest piękne. Tacy ludzie jak Piotr są dla mnie największymi autorytetami, bohaterami życia.

– Albo Janusz Świątaj, który 10 lat temu na oczach całej Polski prosił o eutanazję, a Pani uratowała mu życie.

Poprosił o zaprzestanie uporczywej terapii. Janusz strasznie się złościł, jak ktoś mówi o eutanazji. Jeżeli

„PAMIĘTAM ROZMOWY Z WISŁAWĄ SZYMBORSKĄ, ANDRZEJEM SZCZEKLIKIEM, CZESŁAWEM MIŁOSZEM. MAM OGROMNE SZCZĘŚCIE, ŻE CAŁE ŻYCIE SPOTYKAM SIĘ Z NIEZWYKŁYMI LUDŹMI”

życie stwarza człowiekowi tak straszny ból i tak okropnie go upokarza, to nie można tego życia przedłużać na siłę. I o to walczył Janusz. Dużo o tym myślałam. Bóg dał człowiekowi wolną wolę. Ja mogę teraz wejść na tę barierkę, którą tu mamy za oknem, i skoczyć. Mój wybór, mój grzech. A Janusz nie może sam nic. Ma zabraną wolną wolę. Dowiedziałam się o jego prośbie w czasie próby „Orestei”. Zadzwoił jakiś dziennikarz. Wróciłam do domu, oglądałam przed północą materiał w telewizji i widzę, że ja tego człowieka przecież znam. To nasz Janusz „Ssak”, bo tak go nazwaliśmy, kiedy daliśmy mu przez fundację ssak do odlegmiania i materac przeciwdoleżnowy. Wiedziałam, że ten mężczyzna od lat leży całkowicie sparaliżowany po wypadku motocyklowym, oddycha przez respirator. Wtedy od razu do niego zadzwoniłam i strasznie krzychałam: „Janusz, czyś ty zwariował? To ty mi dajesz siłę! To o tobie myślę, jak jest mi trudno! Nauczyłeś mnie wszystkiego swoją postawą. A teraz mi mówisz, że nie chcesz żyć?!”. Na koniec rzuciłam: „A może byś się tak wziął do roboty. Nudzi ci się chyba? Tobie się wydaje, że jesteś niepotrzebny, a ja cię zatrudnię”.

– Myślę, że czuł się w jakiś sposób winny, że obciąża swoich bliskich.

Kiedy jeszcze nie miał respiratora, żeby mógł oddychać, rodzice kołysali go. I kiedy wprawiali ciało w ruch, Janusz brał oddech. Tylko dzięki nim żył. Na sekundę nie można było przestać. Tacy ludzie to też bohaterowie. A wracając do zatrudnienia, Janusz miał sprawny mózg, widział, obsługiwał komórkę, komputer, można było z nim pogadać. Zatrudniłszy go w fundacji na pół etatu. I świetnie sobie radzi. Zrobił w tym czasie maturę, poszedł na studia. Teraz jest na trzecim roku psychologii. Zadzwoił do mnie bardzo szczęśliwy gdzieś miesiąc temu, że zdał właśnie najtrudniejszy egzamin i nawet profesor powiedział, że jest z niego dumny.

– Pani też kiedyś chciała studiować psychologię. Komu chciała Pani pomagać?

Złożyłam nawet papiery. Chciałam pracować w domach dziecka albo w więzieniach – z takimi ludźmi, co mają źle w życiu. Zawsze najbardziej

interesował mnie człowiek. Moje życie zatoczyło takie dziwne koło. Aktorzy są w pewnym sensie psychologami. Przecież na scenie cały czas penetruję kondycję człowieka, jego uczucia, duszę. Scena jest też dla mnie najlepszym gabinetem terapeutycznym. Mogę na niej rozładować emocje.

– Przerobić swoje problemy.

A widz może z kolei przerobić swoje. Słuchania człowieka, mówienia do niego, przekazywania uczuć uczyli mnie w teatrze najwięksi artyści: Jerzy Jarocki, Konrad Swinarski, Jerzy Grzegorzewski. Oni też nauczyli mnie bycia tolerancyjną, niepotępiania nikogo. Aktorstwo dało mi odwagę dotykania trudnych spraw, kontaktowania się z różnymi ludźmi. I pewnego dnia zaprowadziło mnie do spotkania z ludźmi niepełnosprawnymi intelektualnie. Okazało się, że umiem się z nimi kontaktować pozawerbalnie. Dziennikarze ciągle mnie pytają, co mi zabrała praca z osobami niepełnosprawnymi. Nic mi nie zabrała, tylko rozszerzyła moje życie. Dalej gram, mam moje Salony Poezji, studentów, rodzinę, coraz więcej przyjaciół.

– Nie ma Pani w ogóle wolnego czasu.

To prawda. Nawet nie wiem, co to jest wolny czas. Odpoczywam od jednej pracy w drugiej pracy. Po premierze teatralnej „Wesela” mam Festiwal Zaczarowanej Piosenki i Ogólnopolskie Dni Integracji „Zwycięzać Mimo Wszystko”, robię duży koncert pod tytułem „Tylko miłość”, poświęcony opiekunom osób niepełnosprawnych. Nie dostrzegamy ich. A ci ludzi, opiekując się chorym dzieckiem, mężem, żoną, rodzicami, dają dowód najpiękniejszej miłości. Miłości bezwarunkowej. Znam starszą panią, która opiekuje się dwoma synami z zespołem Downa. Martwi się, co z nimi będzie, czy ich nie rozdzieli, kiedy ona umrze. Rozmawiałam niedawno z dziewczyną, która ma porażenie czterokończynowe. Powiedziała: „A jak mama będzie chora, co się z nami stanie?”. Nawet zapytała o to urzędniczkę w pomocy społecznej. Usłyszała, że nie wiadomo. Dlaczego tych ludzi w Polsce się nie szanuje, dlaczego im się nie pomaga? Nie

mogę się z tym pogodzić ani tego zrozumieć.

– Co ludziom tak bardzo doświadczonym przez życie daje siłę?

Największym cierpieniem, jak mówiła Matka Teresa, jest samotność. Człowiek chory czy niepełnosprawny, skazany na samotność, jest stracony. Pamiętam, jak kiedyś Janusz Świtaj mówił: „Nie chcę skończyć w pokoju z zamalowanymi oknami”. Od wszystkich moich rozmówców zawsze słyszałam, że najważniejsza jest obecność drugiego człowieka.

– A wracając do Pani wolnych chwil.

Całe życie marzyłam, żeby mieć ogródek. I mam – niewielki, ale jest. Tylko jak w nim pracować? 48 lat uprawiam bardzo kontuzjogenny zawód. Mój torturowany całe życie organizm zmęczony jest po prostu. Ma prawo. Co chwilę jakaś moja część się buntuje i ostro się sprzeciwia. Najbardziej kręgosłup daje w kość. Pracuję więc w ogródku w wyszukanych pozycjach, przede wszystkim na leżąco, i tak odpoczywam. Któregoś dnia miałam dwie godziny wolne, wyrwałam z 500 mleczy, cały wór. Głupia jestem, że wyrzuciłam, bo przecież z mleczy można zrobić świetne nalewki. Moje koty są przekonane, że to dla ich uciechy grzebię w ziemi, i pomagają mi, jak mogą.

– Ile ich jest?

Tak naprawdę mój jest 17-letni Haszysz. Czarny kocur, który mnie kocha nad życie. Koty są świetnymi terapeutami. Zawsze kiedy wracałam ze szpitala, Haszysz kładł się tam, gdzie byłam operowana. Teraz trochę się martwię o moją głowę, bo nie wiem dlaczego ostatnio na niej śpi (śmiech). Mam jeszcze czarnobiałego Zezika – przyszedł od sąsiadów, bardzo sympatyczny, śpi mi na nogach. Teraz mój syn ma remont i wzięłam jego dwa koty – Scysję, kotkę ze schroniska, i Vasco, ogromnego kota z pięknym ogonem, który chyba jest filozofem, kocha świat i dużo myśli. Ostatnio bardzo delikatnie przyniósł mi z ogrodu siedem ryjówecek, wczoraj pisknę, które wypadło z gniazda. Nie ma w nim żadnej agresji, z taką miłością pokazuje mi różne swoje odkrycia. To jest niezwykle, każdy z kotów ma inny charakter, inne przyzwyczajenia, co innego

lubi jeść. Nie wiem, co ja zrobię, jak Haszysz odejdzie. Kiedy przyjeżdżam z teatru, zawsze na mnie czeka na płocie. Mąż mówi, że kocisko wychodzi z domu 20 minut wcześniej i czatuje, by mnie powitać.

– Powiedziała mi Pani kiedyś, że stara się kolekcjonować piękne chwile. Nadal tak jest?

Zawsze tak będzie. Kiedy spalił się nasz strych, gdzie mieszkaliśmy z Wiesiem Dymnym, zdałam sobie sprawę, że rzeczy nie są żadną wartością, że co innego trzeba zbierać. Na szczęście już wtedy miałam skarby, które pozwoliły mi to przetrwać. Największymi skarbami są dla mnie spotkania z ludźmi. Przyjaciele uratowali mnie po śmierci Wiesia, każdego dnia po spektaklu szli ze mną pogadać, bez żadnego rozczulania się pilnowali, żebym nie była sama. Teatr to mój drugi dom, nie ma w tym żadnej egzaltacji. Z późniejszych lat pamiętam moje rozmowy z Wisławą Szymborską, Andrzejem Szczeklikiem, Czesławem Miłoszem. Pamiętam, jakie wtedy było światło, zapachy. Mam ogromne szczęście, że całe życie spotykam się z niezwykłymi ludźmi. Tego mi nikt nie zabierze, żaden ogień, żadna woda. Są też takie chwile, z pozoru kompletnie nieistotne, które nie wiadomo dlaczego są ważne. Pamiętam niektóre zachody słońca, a nie pamiętam nagród i orderów. Jak zamknę oczy, mam pod powiekami ranek z dzieciństwa, kiedy poszłam na poziomki do lasu. Była taka dziwna mgła, niezwykle promienie jakby spływały z nieba. Chwila niemal metafizyczna. Nie ma materialnych skarbów, które mogłyby być od tego ważniejsze.

– A piękna chwila z tego tygodnia?

Nawet z dzisiaj: radość ludzi, którzy dostali się do finału Festiwalu Zaczarowanej Piosenki. Ich łyż szczęścia. Niewidomy chłopiec zaczął wykrzykiwać: „Ja? Na pewno ja?!”. Nie mogło do niego dotrzeć, że jedzie do Krakowa.

Rozmawiała ALINA MROWIŃSKA

Wesprzyj podopiecznych Fundacji Anny Dymnej „Mimo Wszystko”, wysyłając SMS o treści POMAGAM pod numer 74711. Koszt SMS-a to 4,92 zł z VAT.